

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER

Dwie kobiety, dwie żony,
które znikają w tajemniczy sposób

OSTATNIO



WIDZIANE

ADELE PARKS



POCHWAŁY POD ADRESEM

OSTATNIO WIDZIANYCH:

„Jak każda książka Adele Parks, i ta przykuwa uwagę od pierwszej do ostatniej strony”.

– Richard Osman, autor bestsellera
Czwartkowy Klub Zbrodni

„Naprawdę świetnie się bawiłem! Przez cały czas snułem domysły i aż sapałem z wrażenia, gdy pojawiały się zwroty akcji”.

– Ian Rankin, autor bestsellera
Pieśń na mroczne czasy

„Ambitna, voyeurystyczna proza, przy której nie sposób nie obgryzać paznokci. Przeczytałam za dwoma posiedzeniami”.

– Louise Candlish, autorka
bestsellera *Ostatnie piętro*

„Kolejna laska dynamitu od niezrównanej Adele Parks: wciąż, mrozi krew w żyłach, praktycznie nie daje się odłożyć”.

Lisa Jewell, autorka
bestsellera *Idealna rodzina*

„Inteligentna i pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji, lektura obowiązkowa”.

– „Woman & Home”

„Inteligentna i zmuszająca do myślenia, z absolutnie genialnym zwrotem akcji w połowie”.

– T.M. Logan, autor bestsellera *Zaufaj mi*

„Pikantna, soczysta, odważna. Przy lekturze siedziałam na samym skraju krzesła”.

– Jane Corry, autorka bestsellera *Wszystkie nasze kłamstwa*

„Mroczna, namiętna opowieść, od której się nie oderwiesz”.

– Jane Fallon, autorka bestsellera *Jak pozbyć się Matthew?*

„Pełna toksycznych relacji, mrocznego pożądania i szokujących zwrotów akcji... Doskonała!”

– Eve Chase, autorka bestsellera *Szklany dom*

„Zwięzła, szczera, przenikliwa emocjonalnie, inteligentna i szokująca. Adele Parks pisze coraz lepiej”.

– Gillian McAllister, autorka bestsellera *To tylko kolejna zaginiona*

A D E L E P A R K S

OSTATNIO WIDZIANE

PRZEŁOŻYŁA Z ANGIELSKIEGO

Urszula Gardner



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Both of You

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Pixel-Shot, © alicja neumiler / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Originally published in the English language by HarperCollins
Publishers Ltd. under the title *Both of You*.

© Adele Parks 2021

Translation © Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus
Spółka Komandytowa 2025,
translated under licence from HarperCollins Publishers Ltd.

Adele Parks asserts the moral right to be acknowledged as the author of this work.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-787-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



WTOREK, 17 MARCA 2020

Wrywam się z nicości. Nie leżę jednak w swoim łóżku. W ogóle nie leżę w łóżku.

Otwieram oczy i natychmiast wiem, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak. Wokół panuje ciemność. Czuję się zawieszona w groźnej, dusznej czerni. Znajduję się w pozycji horyzontalnej, ale pod sobą mam beton. Goły beton, taki jak przed położeniem fliz, choć coś mi mówi, że ta posadzka nie doczeka się ręki płytkarza. Sama nie wiem, skąd u mnie taka myśl. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałam na podłodze, było to milion lat temu, jeszcze w czasach studenckich, gdy zapiłam na imprezie i musiałam spędzić noc na waleta u koleżanki w akademiku. Próbuję usiąść; wszystkie kończyny mi ciążyą, w głowie mnie łupie. Mimo to staram się wstać. Czuję szarpnięcie – okazuje się, że lewą rękę mam przywiązaną. Przykutą łańcuchem. W tym samym momencie dolatuje mnie szczeń metalu i przenika jego chłód. Czy to sen? Moja głowa pulsuje, nadyma się i pęka. Na powrót zaciskam powieki – szorują po gałkach ocznych jak papier ścierny. Za drugim

razem otwieram oczy ostrożniej, pozwalam wzrokowi przywyknąć do mroku. Czy to ogólna słabość sprawia, że wszystko wydaje mi się dziwne i obce? Drżące? Mam takie wrażenie, jakbym nie mogła nadążyć za własnymi myślami.

Ile wczoraj wypilałam? Wysilałam pamięć, ale nic z tego. Nagle sobie uświadamiam, że nie pamiętałam zupełnie nic z minionego wieczoru, i w tej samej chwili ogarnia mnie prawdziwy strach. Robi mi się niedobrze. W powietrzu snuje się woń rzygowin, co oznacza, że zdążyłam już puścić pawia. Kto jak kto, ale ja nie budzę się we własnych wymiocinach. Gdzie podział się zapach mojego śpiącego męża? W sypialni nie unosi się aromat Jo Malone Lime Basil and Mandarin, w kuchni nie pieką się tosty. W nozdrza drażni mnie kurz, jest mi trochę za ciepło, choć nie czuję wilgoci. Czyżbym była w szpitalu? Nie. W żadnym szpitalu nie każe się leżeć pacjentom na ziemi, do tego w łańcuchach. I dlaczego jest tak cicho? Chłopcy o nic się nie kłócą, telewizor nie ryczy, nie trzaskają drzwi, nikt nie domaga się ode mnie odpowiedzi na pytanie o to, gdzie są spodenki gimnastyczne. Czekam. Bywa przecież, że rano, gdy się budzę, jest całkiem spokojnie – gra tylko radio, ustawione na program czwarty, i w powietrzu wisi zapach kawy.

Nic.

Moje ciało zalewa fala przerażenia. Kończyny jakby topnieją, przez co nie mogę wykonać najlżejszego ruchu. Pomimo mgły mózgowej zdaję sobie sprawę, że ktoś musiał mnie odurzyć. Zostałam porwana. To, o czym się czyta, to, co spotyka innych, co przydarza się innym, spotkało, przydarzyło się mnie.

Spanikowana zaczynam szarpać się z łańcuchem, ale on się nie poddaje. Na czworakach eksploruję bezpośrednie otoczenie, staram się zrozumieć, dokąd trafiłam. Nie udaje mi się zejść daleko, ponieważ ogranicza mnie łańcuch – z jednej strony przykuty do kaloryfera, z drugiej trytytką przyczepiony do mojego

nadgarstka. Łańcuch ma długość około metra. Pomieszczenie jest wielkości standardowego pokoju gościnnego, ma może trzy na trzy metry. Ściany wydają się szare. Są kompletnie gołe, ale czyste. Nie znajduję się więc w opuszczonym magazynie ani porzuconej chacie. Na to jest tutaj zbyt schludnie – nijako w stopniu rywalizującym z anonimowością. Domyślam się, że to nie przypadek. Mogłabym być wszędzie. Nie ma tu wyposażenia. Żadnego mebla, łóżka, materaca, lampy. Niczego, co uczyniłoby tę przestrzeń przyjaźniejszą, niczego, co niosłoby otuchę. Widzę tylko plastikowe wiaderko. Świadomość, do czego ma służyć, sprawia, że skręcają mi się wszystkie wnętrzności. Dostrzegam zarys drzwi i zabite deskami okno. Nie jestem w stanie do nich sięgnąć, ponieważ drzwi znajdują się w przeciwnym rogu, a okno na wprost ściany z kaloryferem.

Chcę sprawdzić godzinę, przekonuję się jednak, że mój smartwatch zniknął. Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, nie wiem nawet z całą pewnością, jaki jest dzień – to tylko wzmacnia moje poczucie izolacji i zagubienia. Nie straciłam jednak głosu. Mogę krzyczeć i w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Przelotnie myślę o osobie, która mnie tutaj sprowadziła; krzykami ją ściągnę, a wtedy nie wiadomo, co ze mną będzie. Nieważne...

– Pomocy! Pomocy! Proszę mi pomóc! – Mój głos rozdziera martwą, nienaturalną ciszę. Wołam i wrzeszczę, aż dostaję chryпки. Ból głowy staje się nie do zniesienia.

Przestaję się drzeć i nasłuchuję.

Nikt nie odpowiada.

Nikt nie przychodzi.

Cisza się przedłuża. Wytężam słuch w nadziei, że usłyszę cokolwiek – jadące samochody, przechodzących ludzi, śpiew ptaków, skoro światło zaczęło się przebić przez deski zasłaniające okno. Wstał nowy dzień – ale jaki? Cisza wokół zdaje się absolutna. Wtem za drzwiami rozlegają się kroki.

– Proszę, proszę mnie wypuścić – skamle.

Łzy płyną mi po policzkach. Nie wiem nawet, kiedy zaczęłam płakać. Twarz mam śliską od śluzu ciekącego mi z nosa. Nie chcę okazać słabości. Pragnę być silna, odważna, wytrzymała – taka jak we własnych wyobrażeniach – ale co z tego, skoro to mnie przerasta? Bohaterem bywa się tylko w swojej głowie. Prawda jest taka, że strach mnie obezwładnia. Będę prosić, błagać, zaklinać. Zrobię wszystko, byle się uratować. Wszystko.

– Proszę, nie krzywdź mnie. Proszę...

Nieoczekiwanie słyszę odgłosy uderzania w klawisze staroświeckiej maszyny do pisania. Pukanie, powolne i precyzyjne, choć mnie przypomina to raczej wrogie odliczanie. W pewnym momencie rozlega się szelest papieru wyciąganego siłą z wałka urządzenia. Co za osobliwy dźwięk, jakże nie na miejscu poza redakcją gazety sprzed dekad. Kto w ogóle używa jeszcze maszyn do pisania? Szuranie oznacza, że kartka została wsunięta przez szczelinę pod drzwiami. Wyciągam rękę, aby ją ująć, lecz znajduje się poza moim zasięgiem. Nie przestaje jednak kusić. Kładę się wyprostowana na całą swoją długość i mozolnie, niezwykle wolno przesuwam papier samymi palcami u nóg, aż wreszcie mogę go chwycić dłonią.

Nie ja tu jestem czarnym charakterem.

LEIGH

NIEDZIELA, 15 MARCA

Jest niedziela. Moi chłopcy wyszli, wszyscy trzej. Chyba nie powinnam nazywać Marka „moim chłopcem”, nie bardzo to do niego pasuje. Infantyлизuję go w ten sposób, a on jest przecież prawdziwym mężczyzną. Cóż z tego, skoro lubię ten skrót myślowy. Wyszłabym na sztywniaczkę, mówiąc: „mój mąż i synowie wyszli z domu”.

W dodatku nie byłaby to do końca prawda.

Wyszedł bowiem mój mąż i wyszli jego synowie. Ta myśl uderza mnie i kąsa okrutnie. Nawet po tylu latach. Boli bowiem takie nagłe i brutalne rozróżnienie. Choć trudno tu właściwie mówić o nagłości. Dlaczego nie jestem ze sobą całkowicie szczerą? Ta myśl, to rozróżnienie towarzyszy mi od zawsze. Nierównowaga, której oboje jesteśmy świadomi i którą równocześnie próbujemy wypchnąć poza świadomość. Nierównowaga niemożliwa do zignorowania w ostatnich miesiącach, odkąd Oli uparł się ją podkreślać na każdym kroku.

Nie chcę być źle zrozumiana: to są moi synowie. Zawsze myślę o nich jak o swoich dzieciach, kocham ich jak własne dzieci. Miłość, którą ich darzę, nie ma granic.

Naprawdę.

Robiłam wszystko, co robi każda matka. Kąpałam ich, karmiłam, otaczałam opieką, kupowałam im zabawki i spędzałam z nimi czas – ach, te niekończące się, niewymagające myślenia rozrywki. Także ich uczyłam. Nie tylko tego, jak stawiać litery i jak wiązać sznurówki, ale też pływania, jeżdżenia na rowerze, gotowania, zapinania guzików, zaplatania węzłów, odczytywania godziny, przechodzenia przez jezdnię. Nadal staram się nauczyć ich wszystkiego, co powinni wiedzieć o świecie. Chcę ich przepelnić wiedzą, siłą i ciekawością, ponieważ wiem, że te cechy pomogą im przetrwać, gdy mnie zabraknie. Jednak czasami – być może wiecznie – dzieci nie są podatne na wpływy. Nie zauważają wysiłków, nie rozumieją szlachetnych motywów. Nawet się nie domyślają, że człowiek próbuje im zapewnić bezpieczeństwa, pomóc im dorosnąć. Widzą przed sobą surowego rodzica, który ma bzika na punkcie odrabiania zadań domowych i mycia zębów.

Obaj są moimi synami. I nie ma znaczenia, co mówi Oli.

Choć to, co mówi, łamie mi serce. Wszyscy mnie ostrzegali, że ten etap nadejdzie. Że kiedyś, gdy osiągną wiek nastoletni, zaczną testować granice, zapragną postawić na swoim, pokażą różki i generalnie staną się małymi gnojkami. Moja najlepsza przyjaciółka Fiona śmieje się, że Oli mógłby robić znacznie gorsze rzeczy, niż zwracać się do mnie po imieniu. Nastolatek dysponuje całym arsenałem zachowań: może wagarować, kraść po sklepach, zażywać narkotyki. Jej zdaniem powinnam być wdzięczna. Nie jestem. Dlatego że to nie żaden etap – to zakrojony na szeroką skalę protest wymierzony we mnie. To prawda, że nie jestem ich biologiczną matką – nie znają jednak innej poza mną,

Oli mógłby więc zrozumieć, że chcę dla nich obu jak najlepiej. Niegdyś byliśmy sobie tacy bliscy.

Zaledwie dziś rano doszło do kolejnej kłótni. Wypełniłam online formularz dotyczący jego studniówki. Chodziło tylko o alergię pokarmową (nie jest na nic uczulony) i o pozwolenie, aby pojechał autokarem na późniejszą imprezę, organizowaną już przez samych młodych (zgodziłam się). Zarzucił mi, że nie miałam prawa tego zrobić. Ha – ciekawe, kto za wszystko płaci, w tym za studniówkę i after party.

Mark powiedział tylko, że to niedobra pora na roztrząsanie tego. Zawsze to mówi. Nie wolno nam o tym rozmawiać w dni powszednie, bo młodzież mająca za pasem maturę stresuje się wystarczająco nauką; nie wolno nam o tym rozmawiać w weekendy ani święta, bo mogłaby się zepsuć atmosfera. Nie wolno nam o tym rozmawiać w żaden dzień roku. Mimo że temat wiecznie sam wypływa. Oli warczy i burczy, obraża się i odpowiada monosylabami.

Kiedy wychodzą – tak, wiem, to okropne wyznanie, ale czasami kiedy drzwi zamykają się za nimi z hukiem i zaczynają nas odgradzać ściany – napięcie maleje, a cisza nabiera innych tonów. Owszem, nadal bywa klaustrofobiczna i oskarżycielska, lecz ja przynajmniej czuję się bardziej wolna. Gdy przestają być pod obstrzałem spojrzeń, łatwiej mi myśleć.

Są w odwiedzinach u szwagierki Marka. Mark pozostał w bliskich kontaktach z krewnymi pierwszej żony, zwłaszcza z jej siostrą. Zwykle im towarzyszę, gdy udają się z wizytą do Pauli i jej rodziny, ale tym razem z wielu różnych powodów chciałam, aby poszli sami. Wymówiłam się więc obowiązkami – zaległe rozmowy telefoniczne, pranie, mycie podłogi... Niedzielny lunch przyniósł bowiem niemało wrażeń. Kiedy jedliśmy, nasz kot Topaz wskoczył na kuchenny blat i przeszedł się po zatłuszczonych blachach, zostawiając następnie ślady łapek na każdej dostępnej

powierzchni. Jako że swoje waży, zdołał podnieść i zrzucić na podłogę półtuszkę kurczaka, którą bawił się tak długo, aż wysmarowała dosłownie wszystkie flizy. Znaleźliśmy go nad resztkami kurczęcia, jak przeżuwał ostatni kawałek, co doprowadziło do minikryzysu, ponieważ Seb spanikował, że jego ulubieniec udławi się kurzą kością. Topaz jest na to za mądry, ale i tak prychał i drapał, kiedy odciągałam go od zmaltretowanej zdobyczy. Nie należę do gospodyń domowych przesadnie dbających o porządek. Zanim zostałam żoną i matką, mieszkalam sama i utrzymywałam swoje gniazdko w czystości, dopóki pewnego razu nie zobaczyłam lodówkowego magnesu z hasłem: „CZYSTY DOM JEST OZNAKĄ ZMARNOWANEGO ŻYCIA” i nie uzmysłowiłam sobie, że zgadzam się z tym bardziej niż z cymkolwiek innym, co przeczytałam w życiu.

Nie znoszę marnotrawstwa.

A szczególnie marnotrawstwa czasu.

Jednak nawet stosunkowo nisko zawieszona poprzeczka nie przesłoniła tego, że stan kuchni wymaga mojej interwencji. Nie mogłam pozwolić, by tłuszcz dostał się na dywany. Bałam się też, że Seb – który jest dość niezdarny – poślizgnie się i wyłoży. Oznajmiłam więc, że zostanę i doprowadzę wszystko do porządku.

Poza tym nie cierpię cmentarzy.

Dziś przypada rocznica śmierci Frances. Minęło równo jedenaście lat, odkąd Oli i Seb stracili rodzoną matkę. A Mark swoją pierwszą żonę, moją poprzedniczkę. Jak co roku udali się na jej grób, a wraz z nimi Paula, jej mąż i ich trzy córki. Frances została pochowana rzut beretem od domu Pauli, dzięki czemu ta może często odwiedzać siostrę – przy okazji pieli kwaterę i składa świeże kwiaty. Dziewczynki bywają na grobie tak często, że jest to dla nich równie normalne jak odwiedziny u dziadków czy zabawa w parku. „Może pójdziemy odwiedzić

ciocię?” – pytają radośnie jakby nigdy nic. Przypuszczam, że najbardziej ze wszystkiego podoba im się kupowanie kwiatów u florystki. Która mała dziewczynka nie lubi kwiatów? Żadnej z nich nie było nawet na świecie, kiedy Frances zmarła, lecz Paula utrzymuje ją dla nich przy życiu – tak samo jak dla chłopców. Bez końca opowiada Oliemu i Sebowi historyjki z życia ich matki. Kto inny, jak nie ona, miałby to robić? I bardzo dobrze, że chłopcy potrafią bez skrzepowania mówić o Frances. Nie uważam jednak, aby powinna ona być tematem wszystkich ich rozmów z ciotką. Czasem byłoby miło, gdyby Paula nie przerywała w pół zdania i nie wykrzykiwała: „Lubisz ciasto czekoladowe, Seb? Oczywiście, że tak! Wasza mama za nim przepadała!” (zupełnie jakby ciasto czekoladowe nie było powszechnym przysmakiem), albo: „Oli, tak bardzo przypominasz mi swoją mamę, kiedy była w twoim wieku. Wypisz wymaluj Frances”. Tak się składa, że obydwaj wdali się w ojca, choć nie mogę wykluczyć, że po matce odziedziczili pewne zachowania, o których nie mam pojęcia. Nie postponuję tutaj Frances. Godzę się z tym, że była wspaniała pod każdym względem. Łagodna, cierpliwa, zabawna, bystra... Nie słyszałam z niczyich ust złego słowa na jej temat (co prawdę mówiąc, jest dla mnie trudne do przełknięcia – nie ma ludzi idealnych). Rozumiem również, że niektórym jest lżej, jeśli mogą odwiedzać zmarłych na cmentarzu; okazują w ten sposób szacunek w myśl przekonania, że nasi bliscy odchodzą w zaświaty, lecz nie w zapomnienie. Mnie osobiście łączenie po cmentarzu przyprawia o ciarki. W tym przypadku zaś chodzi jeszcze o coś – o przeciąganie liny.

Paula i ja nie jesteśmy sobie zbyt bliskie. To nie tak, że wiecznie się wyklócamy, ale zwyczajnie nie ma między nami flow. Traktujemy się nawzajem z chłodnym dystansem. Przypuszczam, że z jej strony to całkowicie naturalne. W końcu gdyby Frances nie zmarła na raka, nigdy nie zostałabym żoną Marka, ponieważ ich

małżeństwo było nierozzerwalne. Byli ze sobą szczęśliwi. Mark po prostu nie zwróciłby na mnie uwagi.

Jednak Frances umarła.

Wiele wysiłku i determinacji kosztuje mnie niemyślenie o sobie jako o drugim wyborze. Muszę sobie nieustająco przypominać, że nie jestem żadnym planem B – jestem inną ścieżką. Składałam wizyty na grobie Frances w jej urodziny, a nawet w Wigilię – tuż przed tym, zanim popędzimy autostradą M1, żeby zdążyć na kolację do rodziców Marka – co akurat doprowadza mnie do szału, bo w Wigilię jest tyle do zrobienia, i to na ściśle określony czas. Uważam jednak, że lekką przesadą jest celebrowanie rocznicy czyjejś śmierci.

Już wolę umyć podłogę w kuchni.

Jak tylko to zrobię, podzwonię po przyjaciółach i krewnych. Będzie to dla mnie uczta po ciężkiej harówce. Poczynię plany na nadchodzący tydzień, ustalę, do których lokali warto zajrzeć, by się napić czy coś zjeść, przypomnę sobie, że w życiu chodzi też o inne sprawy niż mój sukces – albo jego brak – w matkowaniu Oliemu i Sebowi, w byciu żoną Marka.

Nie zrozumcie mnie źle. Stanowimy szczęśliwą rodzinę. Zazwyczaj. Czasami nawet bardzo szczęśliwą. Ale są chwile – moja mama to potwierdzi – gdy matkowanie wydaje się niewdzięczną rolą. Zgoła beznadziejną, a jeśli nawet nie, to na pewno czymś, nad czym nie ma się pełnej kontroli. To chyba najtrudniejsza lekcja, którą wyniosłam z rodzicielstwa: bez względu na to, jak się staram, nie jestem w stanie zagwarantować szczęścia moim synom. Są zewnętrzne siły, które znajdują się poza mną i nieustannie krzyżują mi szyki. Siły mające dla tych chłopców większe znaczenie niż ja. Grupy rówieśnicze, surowi albo upierdliwi nauczyciele, lajki na Instagramie i liczba znajomych na Facebooku, to, czy zostaną wybrani do drużyny lub zaproszeni na imprezę, to, czy nie są za niscy, za grubi, za chudzi, za pryszczaci... Czy

są w czymś dobrzy – w czymkolwiek. O ileż łatwiej było mi, kiedy byli młodszy; wystarczył przytulas, plaster z Myszką Miki bądź zwykły lizak.

Lubię słuchać muzyki, gdy nikogo nie ma w domu. Z dwóch powodów. Po pierwsze, zapelniam w ten sposób pustkę, w normalnych warunkach gęstą od dźwięków gier komputerowych, basów dolatujących z wieży czy odgłosów włączonego na cały regulator telewizora. Po drugie, tylko wtedy mogę sama zdecydować, czego będę słuchać. Oli uwielbia hip-hop i rap, Seb udaje, że za nimi przepada, ponieważ żyje w cieniu starszego brata, którego podziwia i naśladuje na każdym kroku, przejmując jego styl i twierdząc, że podziela jego gusta, jeśli chodzi o muzykę, jedzenie i seriale – wszystko to ku wielkiej niechęci Oliego. A skoro obaj słuchają hip-hopu i rapu, ilekroć są w domu, aż dudni od głośniejszej, natarczywej perkusji i gniewnych słów. Nikt nie przejmuję się moimi upodobaniami. Nie można mnie nazwać melomanką. Przestałam być na bieżąco z zespołami, gdy Oasis i Blur zaczęły dołować na listach przebojów. Muzyka, którą lubię, znajduje się na czarnej liście programu pierwszego radia. Pozostał mi taniec. Ubóstwiam czuć całym ciałem rytm. Pewnie jestem muzycznym odpowiednikiem osoby, która mówi, że nie zna się na winie, ale lubi sobie wypić.

Czasami, gdy słyszę jakiś utwór puszczony przez chłopców, pytam: „Co to? Brzmi dobrze”. Jeszcze pół roku temu Oli się uśmiechał i w podnieceniu pokazywał mi jakiś niezrozumiały filmik na YouTube, opowiadając wszystko, co wiedział o wykonawcy, który gra w więzieniu, występuje na jachcie przed publicznością zgromadzoną na brzegu, rozdaje miliony mieszkańcom swojej dzielnicy. Czuję się, jakbym rozmawiała z Obcym; wciąż pamiętam, jak najbardziej szokującym zachowaniem gwiazdy popu było pociągnięcie powiek kreską do oczu. Mimo wszystko lubiłam patrzeć na entuzjazm Oliego. Lubiłam widzieć

go ożywionego, czułam się zaszczycona, że to właśnie ze mną dzieli swój zapach. Brakuje mi tego. Jego mi brakuje.

Raz popełniłam błąd i po usłyszeniu Taylor Swift rzuciłam uwagę, że jest moim duchowym zwierzęciem – ponieważ gdy się wsłuchać w jej teksty, śpiewa o tym, co sama czuję. To znaczy co czułam, kiedy byłam młoda i bezbronna. Najwyraźniej takie rzeczy nie zmieniają się w przypadku kobiet bez względu na to, jak bardzo *woke* stał się świat. To mniej więcej wtedy Oli zaczął traktować mnie inaczej. Nie zrozumiał moich słów o duchowym zwierzęciu, nie załapał żartu ani się nie domyślił, że jest to z mojej strony próba zacieśnienia relacji. Wystraszył się. Wściekł, że nagle mogę bezprawnie wkroczyć do jego świata – świata młodości i możliwości, miłości i źle widzianych operacji pod kołdrą (w pojedynkę).

– Nawet nie wiesz, czym jest duchowe zwierzę – odparował. – Drugi człowiek nie może być twoim duchowym zwierzęciem.

– Żartowałam! – powiedziałam, nie rezygnując z próby dotarcia do niego. – Ale przyznasz, że jest świetna, co? Całkiem, jakby rozumiała wszystko, co wiąże się z sekretnymi tęsknotami, sukcesami i porażkami. – Już wcześniej ściągnęłam sobie jeden album Taylor Swift. W tamtym momencie włączyłam odtwarzanie na moim smartfonie. – Tylko posłuchaj...

Zaczęłam tańczyć w kuchni. Taniec był pierwszym, co nas połączyło. Oliego i mnie. Stawał mi na podbiciu, a ja zaczynałam wykonywać kroki, szurając wolno stopami po podłodze, dokładnie tak, jak kiedyś robił to ze mną ojciec. Oczywiście teraz Oli jest na to za duży. Dawno mnie przerósł! Zresztą sam tańczy wspaniale. Uwielbiam go obserwować. Nastolatek musi mieć dużo pewności siebie, żeby zatańczyć gdziekolwiek – nie mówiąc o kuchni, do tego sam na sam z matką. Ale tamtego dnia, gdy rzuciłam tę uwagę o Taylor Swift, Oli tylko zmarszczył brwi, stwierdził, że Taylor Swift jest głównianą piosenkarką, i zniknął

w swoim pokoju. Nie pamiętam, żeby po tym jeszcze ze mną zatańczył.

Zdana na luksus samotności, podkrećcam głośność i wsłuchuję się we wzruszające słowa i oszałamiającą muzykę, równocześnie myjąc podłogę w kuchni. Taylor Swift śpiewa o miłości dwojga młodych ludzi i ich nieodpowiedzialności. Mark i ja nigdy tego nie doświadczyliśmy. Był ojcem, gdy go poznałam. Ja zostałam matką w tej samej chwili, w której zgodziłam się być jego dziewczyną – a przynajmniej matką zastępczą, taką prawie matką. Ale słuchając teraz muzyki, daję się przenieść głębiej w przeszłość, w czasy naznaczone spektakularnymi klęskami i dotkliwymi konsekwencjami. Czy już mówiłam, że uwielbiam tańczyć? Jest to dla mnie źródło wielkiej radości. Dlatego chłonę tę ekstrawagancję całą sobą. Niedzielne popołudnie spędzone w pojedynkę wydaje mi się zakazanym owocem. Zaczynam kołysać biodrami, poruszać stopami. Pstrykam palcami do rytmu. Bardzo szybko melodia i słowa biorą mnie w posiadanie jak nieznajomy. Poddaję się temu. Nie, wróć – poddanie sugerowałoby opór, a ja najzwyczajniej w świecie z własnej woli rzucam się na głęboką wodę. Zatracam się bez reszty. W normalnych okolicznościach wszystko kontroluję – samą siebie, rodzinę, czas. Jestem osobą stosunkowo nieśmiałą, wiecznie przejmuję się tym, jakie wrażenie robię na innych. W tańcu o tym zapominam. Moje członki się rozluźniają, kręcę biodrami, potrząsam głową. Kij od szczotki zamienia się w partnera, z którym wykonuję obroty i wygięcia.

Kiedy sprzątam i tańczę, siność nieba za oknem przechodzi w głębokie indygo. Mark przysyła mi esemesa, informując, że razem z chłopcami dał się zaprosić Pauli na kolację. Nikt mnie nie pyta, decyzja zapada poza mną. Ale że planowałam tylko kanapki, nie mogę się dąsać. Gdy podłoga jest już czysta, a wszystkie blaty lśnią, odkładam szczotkę, szmatę i wiadro, lecz – niczym prawdziwy Kopciuszek, który za nic nie odpuści balu – nadal

tańczę. Mój brzuch robi się wilgotny od potu, włosy kleją mi się do karku, ale mnie to nie przeszkadza! Ta przyjemność, wolność jest absolutna.

Dlatego tak się gniewam na Marka i na chłopców, że mi ją odbierają. Moją przyjemność. Moją wolność.

Słyszę ich śmiechy. Donośne i zuchwałe. Na zewnątrz jest już całkiem ciemno, w kuchni pali się więc światło, przez co jestem wyeksponowana jak na scenie. Ale czuję się też jak eksponat. Mark, Oli i Seb stoją za przeszklonymi drzwiami i wyją jak hieny. Zastanawiam się, od jak dawna mnie obserwują. Wpadają do domu, nadal roześmiani. Jawnie ze mnie drwią.

– Niezły występ – stwierdza Mark. Całuje mnie w przelocie, jego zimne wargi parzą mój zaczerwieniony policzek. – Zapomniałem kluczy, dlatego weszliśmy od tyłu.

Seb rzuca:

– Boże, mamo, tańczysz zupełnie jak babcia.

Nieprawda. Ich babcia nadal tańczy twista – i chwala jej za to. Co do mnie, wywodzę się bardziej z lat dziewięćdziesiątych. No dobrze, utknęłam w nich, ale przynajmniej daleko mi do twista. Głównie podskakuję i wymachuję rękami. Mimo wszystko rozumiem, skąd ta uwaga. Pośpiesznie opuszczam ramiona wzdłuż boków. Obciąłabym je sobie, gdybym mogła. W wyobraźni widzę, jak sięgam po nóż rzeźnicki, który błyszczy kpiąco z bloku na noże.

– Umyjcie ręce. Tylko porządnie, śpiewając przy tym całe *Sto lat* – mówię, jednak nikt mnie nie słucha.

– Beznadziejna jesteś, Leigh – mamrocze tylko Oli. Przeciskając się obok mnie, bierze jabłko z miski, którą uzupełniłam świeżymi owocami, i wgryza się w nie łapczywie. Potrząsa przy tym głową. Ale nie tak jak ja podczas tańca, nie w radosnym zapomnieniu, tylko z niemą rozpaczą. – Żenada.

Odwracam się do Marka i spojrzeniem proszę go, aby coś powiedział, lecz on milcząco wzrusza ramionami, choć wiem, że

mnie rozumie. Jego oczy mówią: „Nie wciągaj mnie w to; to twoja walka”. Czasami bycie żoną i matką wydaje się równie okrutne jak kara tysiąca cięć. Prostuję się, zmuszam do uśmiechu – wypada to błado, nikt już nie pomyśli, że się świetnie bawię, ale przynajmniej nie robię sceny. Mimo że bardzo bym chciała. Panuję nad swoim ciałem. Decyduję, ile ujawnić. Minę mam rozluźnioną, czoło gładkie. Brodę trzymam wysoko. Jestem nieprzenikniona. Człowiek nie powinien czuć się obco we własnej rodzinie. To nienaturalne.

– Mógłbym mieć psa? – pyta nieoczekiwanie Seb.

– Nie! – odpowiadam bez zastanowienia.

Zadaje to pytanie regularnie od mniej więcej pół roku. Zazwyczaj jestem spokojniejsza i staram się odmawiać delikatniej, tym razem jednak nie mam ani cierpliwości, ani siły. Jak niby miałabym w rutynę swojego życia wpasować jeszcze psa?

Seb wydaje się zaskoczony, jego twarz przesłania cień zmar twienia. Natychmiast dopada mnie poczucie winy. Dwunastolat kowie nie powinni się martwić o swoich rodziców. To spostrze gawczy, dobry dzieciak. Jest beztroski i żartobliwy – i oczekuje tego samego od reszty świata.

– Coś nie tak? – dopytuje.

Jak mam mu powiedzieć, że właściwie wszystko – może oprócz niego. Z dużym naciskiem na „może”, ponieważ nawet kochanie go nie jest proste. Jak do tego doszło, że żadna przy jemność w moim życiu nie jest absolutna? Winę za to ponoszę oczywiście w całości ja sama.

– Nie, nic. Jestem zmęczona. Posłuchaj, może wziąłbyś prysznic, co? Ja w tym czasie zadzwonię do Fiony. Zajrzę do ciebie, zanim zgasisz lampkę.

Kiwa głową i oddala się posłusznie, chętnie dając wiarę, że jestem tylko zmęczona.

Nalewam sobie pełen kieliszek wina i opowiadam Fionie o ostatnim komentarzu Oliego. Staram się to przedstawić tak,

jakby wcale mnie nie zabolalo, ale ponoszę sromotną porażkę. Moja przyjaciółka zna mnie zbyt dobrze, abym mogła ją łatwo oszukać. Cieszy mnie to, gdyż nie chcę, aby zignorowała tę sytuację wzorem Marka. Pragnę, by mi współczuła, by utwierdziła mnie w przekonaniu, jakie to niesprawiedliwe i że nie zasługuję na podobne traktowanie. Na przestrzeni lat nieraz padały sugestie, że chłopcy powinni przejść terapię. Zdaje się, że Fiona była pierwszą osobą, która to zaproponowała. Dziś mówi to samo. Znamy się od wieków, szczerze ją kocham i wiem, że chce dobrze, ale nie mogłaby wybrać gorszego momentu.

– Na co im terapia? – Cała się jezę.

– Żeby przepracowali żalobę.

– Żalobę po kim?

– Po matce.

– Ja jestem ich matką – rzucam zapalczywie.

– Po biologicznej matce – odpowiada cierpliwie Fiona.

– Ona zmarła lata temu. Byli wtedy malutcy. Jestem ich matką od prawie dekady.

– Właśnie o tym mówię. Byli bardzo mali, gdy ją stracili. Zbyt mali, aby mogli to przepracować. Może teraz przyszedł czas, aby ktoś im w tym pomógł.

– Jestem ich matką – powtarzam. – Nie chcę, żeby jakiś terapeuta mieszał im w głowach.

– Co się dzieje, Leigh? Wiem, że coś jest na rzeczy.

Nie pyta mnie, czy chodzi o Oliego, czy może o pracę. Pozostawia pytanie otwarte, przez co staje się ono niebezpieczne. A gdybym jej powiedziała? Gdybym się jej zwierzyła? Ta możliwość otwiera wrota tęsknocie. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek zdołam je z powrotem zamknąć.

Nie, nie mogę udzielić odpowiedzi.



*Sięgnij po
więcej!*



www.wydawnictwokobiece.pl



[kobiece](https://www.facebook.com/kobiece)



[wydawnictwo.kobiece](https://www.instagram.com/wydawnictwo.kobiece)